

Rodzina

Rodzina. Rzeczownik, rodzaj żeński. Liczba pojedyncza, a jednak liczba mnoga. Język polski widzi w tym słowie grupę, zamkniętą komórkę społeczną. Opowiem ci historię pewnej jednoosobowej rodziny. O szczątkach ludzkich atomów powpychanych w pory skóry, mieszki włosów, podniebienie. Rodzina – to, co zostało we mnie, w tobie, po innych.

Zanim wypełniłam się obcą tkanką, byłam częścią innego planu. Kiedy pozostali przeżywali pierwsze miłości, robili prawo jazdy i stresowali się maturą, ja byłam zajęta planowaniem samobójstwa.

Internet był wtedy nowym narzędziem. Ludzie szukali w nim filmu pornograficznego, czatu z nieznanymi, strefy czasowej w Melbourne. Mnie interesowały sposoby na zrządzenie się życia. „Jak popełnić samobójstwo” – zapytałam. Znalazłam świat, w którym ludzie są pomocni i szczerzy, a powieszenie się jest opisywane jak przepis na upieczenie ciasta. Odmierz taką i taką długość liny, najlepiej jutowej, sizalowej lub konopnej, współmiernej do określonej wagi ciała. Pamiętaj, żeby pętla była z tyłu głowy, odbij się mocno, a rezultat będzie pulchny i rozplywający się w ustach. Z powieszeniem się nie ma żartów – zamiast krótkiej, szybkiej śmierci, można się dusić wiele godzin na sznurze kiepskiej jakości. Wtedy też trup nie wygląda zbyt apetycznie. Nikt nie chce wyglądać źle w trumnie.

Oni to rozumieli. Słuchali, doradzali, nie oceniali. Połączeni wspólnym celem wiedzieliśmy, że do sprawdzianu przystąpimy sami.

Nie byłam samolubna, nie chciałam, żeby ludziom wystygła zupa czy żeby przegapili występ syna jako drzewa iglastego, bo mnie zdudziło się kontynuowanie procesów biochemicznych. Od razu było dla mnie jasne: nikt nie będzie musiał czekać w korku czy szukać objazdu, bo rzuciłam się pod tory.

Dlatego tabletki. Białe, żółte, czerwone, ubrane w żelatynową zbroję, skrobię, polimery organiczne. Obute w pisane drobnym druczkiem zawiniątka, ostrzegające o odpadaniu skóry, mimowolnych skrętań kończyn i uszkodzeniach wątroby. Tylko zdrowi ludzie mogą myśleć, że to wysoka cena za brak bólu. Nerkę, pęk jelita cienkiego, lewą gałkę oczną oddałabym za prawidłową wrażliwość receptorów w synapsach.

Tabletki były opcją altruistyczną, również dla pracowników domu pogrzebowego. Trudno robić makijaż na poszarpanej twarzy. Nikt nie uwierzyłby w moją prołudzką stronę, bo deptałam ścieżkami z dala od ludzi. Takich jak ja łowiłam w Internecie. Tam nie trzeba było bawić się w podchody, żeby podwinąć rękaw, utrzymać kontakt wzrokowy, pokazać uzębienie.

Internet uratował mi życie.

I powierzył mi Maćka.

On mnie potrafił. Znał długą historię blizn, przypaleń, podartych kolan. Nigdy nie pytał dlaczego, chociaż przyszedł bez instrukcji obsługi.

Maciek nigdy nie cierpiał wprost. Między jednym a drugim mrugnięciem, przez bójki, narkotyki, kasyno i dziwki, żeglował w poszukiwaniu odpływu. Nigdy nie przestał.

Stworzyliśmy rodzinę na śmietniku. Czy sami byliśmy śmieciami? Myślę teraz, że po prostu nikt nie nauczył nas pływać.

Weszliśmy nago w dorosłe życie. Ubraliśmy się w cudze. Jednej matce zabraliśmy regał, innej łóżko, pod blokiem znalazła się kanapa. Odwrócona skrzynka Tyskiego dotrzymywała jej towarzystwa. Lodówka z OLX, pralka od siostry kumpla, talerze po zmarłej babci. Koc przejął funkcję żaluzji. Spętany za dnia sznurówką, wieczorami powiewał jak flaga, symbol zwycięstwa, przejścia terenu.

Dwójka pełnoletnich ludzi podpisuje umowę najmu, kupuje szpinak na obiad, adoptuje kota – czym jest rodzina, jeśli nie tym?

Prawdziwa rodzina to cierpienie. To, co proste, nie może być miłością. Poświęcenie wyściela każdy poważny związek, zgodziłaby się ze mną moja matka i babka. Jeśli nie zrezygnujesz z własnych celów, skąd wiadomo, że ci zależy? Własność prywatna wniesiona do związku staje się wspólna. Mówi się, że to uczciwe, bo dostałeś coś w zamian: poczucie bycia potrzebnym. Bywa, że i to znika.

Zazębiona z cudzym życiem, wyłączyłam Internet. Mówię więc: oto jestem. Sprawdzam. Kim jestem, towarzyszką broni, odbiciem, pracownicą socjalną, matką? Nie wiedział. Odpowiedziały mi pogryzione wargi i wielkie siniaki, krwotok z nosa, trzęsące się ręce.

To nie tak, że nie wiedziałam. „Kiedy go poznałam, był inny” – mówią. „Zmienił się”. „Kiedyś nie brał”. Jeśli byłby inny, nie poznałabym go. Inny by mnie nie pokochał. Dla innego bym nie została.

Rzucił studia, był dilerem, ramieniem w piramidzie sprzedaży, kucharzem, ogrodnikiem, taksówkarzem. Próbował być nauczycielem angielskiego, biznesmenem, filozofem. Perorował, że się zabije albo zabije kogoś. Że wyjedzie na koniec świata i zacznie nowe życie, beze mnie, bo ja, jego kontur rodziny, byłam winna, że on nie wie, jak żyć. W nocy budziły mnie jego pot i krzyk. Walczył z niewidocznym wrogiem, który czał się pod naszymi drzwiami. Widział jego cień, słyszał jego głos.

Byłam wrogiem.

Jak inne komórki w jego życiu, przez pomyłkę.

Wyrzucaliśmy rzeczy przez okno, a potem po nie wracaliśmy. Ze śmietnika powstałe, w śmietnik się obrócisz, myślałam, kalecząc palce byłymi kubkami. Talerze przeżyły babcię o dziesięć miesięcy. Kruszyliśmy ściany, spaliliśmy łóżko, laliśmy się po mordach. Obolała od przypaleń kanapa osłaniała lufki i butelki.

To, co przydarza się mechanicznie uszkodzonym związkom, to zanik perspektywy. Tańczysz w oku cyklonu niczym poderwana jednorazówka. Nie wiesz, jak bardzo jest niebezpiecznie, bo wirujesz sam. Jest cicho. Rozmazanego w dali obrazu nie widać. Nie masz czasu, energii, miejsca, by wyrzucić. Wyczerpuje cię walka o życie. Twoich zasobów starcza tylko, by przeżyć. Na szali jest tworzona od kilku lat mieszanka waszych płynów, zwierzeń, naskórka. Krucho to, iglaste, rozpada się w palcach. Wszystko, co masz, to teraz. Przegapiłeś moment, kiedy wszyscy odeszli, czekając na to, aż ty odejdziesz.

Jesteś w sekcie.

Czy tęskniłam za życiem na zewnątrz? Na zewnątrz czego? Jak pianka poliuretanowa życie dopasuje się do kształtu naszych palców.

Zewnątrz było niebezpieczne. Było rozległą przestrzenią niewiadomą. Obcymi ciałami, skażonymi substancjami, zimną metalową ławką.

Zewnątrz to Maciek wtulony w plecy bezdomnego na dworcu autobusowym. Skopany przez dilera w kałuży przed klubem. Ściśnięty pasami po płukaniu żołądka. Odlatywałam go jak bezpańskiego kota, zbyt chorego, by protestować. Czasami wracał sam po trzech dniach, pokiereszowany i milczący, jakby po raz kolejny nie zyskał aprobaty podwórka.

Czasami chciałam, żeby umarł. Uwolnić go od siebie. Życzyłam mu tego, czego sam chciał. Spełnienia moich życzeń mu życzyłam. Ale jak miałabym żyć bez niego? Jak żyć bez kogoś, dla kogo zrezygnowałam ze śmierci?

Pamiętam ten dzień, bo głowa kalafiora trwała w siatce, a kot nie chciał przystać na popołudniowe lekarstwo. Minęło sześć dni, odkąd jego zimne stopy szukały moich pod kołdrą. Czy świat mi go zwróci? – myślałam.

Teraz wiem, że źle postawione pytanie warunkuje kąt nachylenia świata.

Uratowała mnie trucizna. Ona wciąż jest.

Mówią, że wkładanie pięści w gardło, żyletki w przegub, proszku do nosa jest złe. To nieprawda. To element systemu bezpieczeństwa.

Ta starannie opracowana procedura amortyzuje uderzenia w chwili zderzenia. Czasami ci zmiażdży zębra, uszkodzi słuch czy rogówkę, ale przeżyjesz. Co bez tego?

Bez tego zostałam ja, jednoosobowe jądro komórki. Najmniejsza strukturalna i funkcjonalna jednostka organizmów żywych zdolna do przeprowadzania wszystkich podstawowych procesów życiowych. Składam się z aminokwasów i wody. Nie ma mnie w spisach ludności, statystykach GUS-u, nie należą mi się żadne zasiłki.

Nie mam planów.

Niewidoczna dla oka, mieszczę się pod płytką paznokcia.



Fotografia – Anna Matysiak